

Al-Kaida, Ameryka i podwójne standardy

Autor tekstu: **Caden O. Reless**

Sprawa śmierci Osamy bin Ladena, zastrzelonego na początku maja br. przez amerykańskich komandosów, wzbudziła sporo kontrowersji. Reakcje polskich komentatorów na to wydarzenie, podobnie jak na całym świecie, oscylowały między nieskrywaną niechęcią (bardzo różnie umotywowaną) wobec Amerykanów, odpowiedzialnych za całe to kłopotliwe zamieszanie, po dość częste wyrazy zrozumienia, a nawet sympatii dla zdecydowanego posunięcia administracji prezydenta Baracka Obamy.

W ujęciu najbardziej krytycznym wobec działań Amerykanów w Pakistanie okoliczności śmierci ściganego od wielu lat terrorysty i przywódcy Al-Kaidy wskazują, że mieliśmy do czynienia ze zbrodniczą egzekucją, dokonaną na bezbronnym, nieszkodliwym, starym i schorowanym człowieku, który został bezwzględnie zlikwidowany przez amerykańskich żołnierzy z Navy SEALs w sypialni własnego domu; motywy tych działań były tylko i wyłącznie polityczne, a śmierć bin Ladena została wykorzystana instrumentalnie przez obecną amerykańską administrację do podniesienia sobie notowań w sondażach i poprawienia minorowych nastrojów opinii publicznej w związku z nadal mizerną sytuacją gospodarczą w kraju. Należąca do Osamy bin Ladena posiadłość w Abbottabadzie, otoczona wysokim betonowym murem i chroniona drutem kolczastym, bardziej przypominać miała domek na wsi, w którym szanowany i kochany ojciec rodziny zwykł beztrudnie spędzać wakacje na łonie przyrody w towarzystwie żon, dzieci i kręgu najbliższych przyjaciół, niż zamaskowany schron, arsenał i kryjówkę terrorystów. Ostatecznie po jednej stronie mieliśmy zionących chęcią zemsty, barbarzyńskich Amerykanów, działających — jak na „neokolonialistów” przystało — bez żadnych skrupułów, niewahających się przed pogwałceniem wszelkich standardów humanitaryzmu i prawa międzynarodowego, z drugiej — bezbronnego bin Ladena i jego towarzyszy, urastających do roli męczenników walki o wolność, outsiderów idealistów, świętych, rewolucjonistów i autentycznych (bo nieskażonych kolaboracją z Amerykanami) pakistańskich patriotów, których okrutna śmierć powinna wzbudzać przede wszystkim współczucie i głęboki niepokój o moralną kondycję całej zachodniej cywilizacji.

Co znamienne, reakcje tych samych środowisk na zamach Al-Kaidy z 13 maja br., w którym zginęło kilkudziesięciu pakistańskich rekrutów, były już bardziej powściągliwe, a pomysły na zapobieganie tego rodzaju aktom terroru wysuwane już dużo rzadziej niż liczne pretensje, związane z próbami rozliczania Ameryki z domniemanych i rzeczywistych grzechów wojny z terroryzmem.

Okoliczności podjęcia decyzji o egzekucji bin Ladena były o wiele bardziej skomplikowane, niż chcieliby to przyznać ci, którzy podejrzewają kolejne amerykańskie administracje, w tym tę aktualną, o hołdowanie jedynie morderczym instynktom na potrzeby uprawiania taniego populizmu. Trzeba je jednak ujmować w szerszej perspektywie czasowej, sięgającej znacznie wcześniej niż do momentu, który jest stereotypowo spostrzegany jako początek amerykańskiej wojny z terroryzmem, czyli roku 2001.

Tego rodzaju decyzje nie były nigdy podejmowane bez wątpliwości, rozważania moralno-etycznych niuansów i dylematów, choć — co trzeba przyznać — były one stawiane głównie z perspektywy amerykańskiej, a więc uznającej za priorytet przede wszystkim bezpieczeństwo Stanów Zjednoczonych i amerykańskich obywateli, a nie prawa terrorystów, czyli sfanatyzowanych morderców, do godnego i humanitarnego traktowania.

Być może patrząc na sprawę z polskiego punktu widzenia trudno zrozumieć amerykańską hierarchię wartości, stosowaną w zwalczaniu globalnego terroryzmu. Dzieje się tak prawdopodobnie dlatego, że Polska nie doświadczyła w swojej najnowszej historii, w przeciwieństwie do Stanów Zjednoczonych, poważnego zagrożenia ze strony tego zjawiska i w stosunku do innych państw pozostaje krajem o relatywnie niskim zagrożeniu atakiem terrorystycznym na swoim własnym terytorium. Oznacza to, że polska opinia publiczna nie musiała jak dotąd poważnie zmierzyć się, w wymiarze jak najbardziej konkretnym i pragmatycznym, z trudnym i niekiedy bolesnym zagadnieniem tzw. derogacji (uchylenia) zobowiązań państwa w dziedzinie ochrony praw człowieka, praw i swobód obywatelskich, podjętej dla ochrony wyższego dobra, jakim jest bezpieczeństwo publiczne, co jest uznawane za możliwe i dopuszczalne rozwiązanie w niektórych, skrajnych sytuacjach.

Stany Zjednoczone przeciwnie — od kilku dekad zmagają się z poważnym zagrożeniem

terrorystycznym, a ich kolejne rządy doskonale wiedzą, że pewne wartości, które cieszą się tak skrzętną ochroną w demokratycznych krajach zachodnich, bywały niejednokrotnie bezwzględnie wykorzystywane przez terrorystów na zasadzie „luk w systemie”, sprzyjających jedynie ich zbrodniczym działaniom. W związku z tym w Stanach Zjednoczonych problem derogacji jest problemem realnym, a przyjęte rozwiązania, zastosowane w celu zwiększenia bezpieczeństwa ludności, choć niejednokrotnie trudne do zaakceptowania przez samych obywateli, a tym bardziej nie do zaakceptowania dla kogoś, kto posiada status bezstronnego obserwatora, mają na celu ochronę wartości najwyższych — ludzkiego życia, setek i tysięcy ludzkich istnień.

Status bezstronnych obserwatorów, którym szczerą się polscy obrońcy praw ofiar amerykańskiej przemocy, pozwala się cieszyć jeszcze jednym luksusem, którym nie mogą się już od dawna cieszyć Amerykanie. Jest to luksus emocjonalnej neutralności, na którą mogą sobie pozwolić osoby niebędące bezpośrednimi uczestnikami wydarzeń. Wynika stąd kilka innych przywilejów, w tym ten najwyższy — wolność od ciężaru odpowiedzialności, nie tylko tej politycznej, ale tej zwykłej, ludzkiej, moralnej, która spoczywa na tym, kto decyduje się na podjęcie kontrowersyjnych działań w obliczu śmiertelnego zagrożenia. Być może dlatego spontaniczna radość i poczucie ulgi wyrażane przez wielu Amerykanów po śmierci bin Ladena spotkały się z pewnym niezrozumieniem w innych krajach zachodnich, w tym w Polsce. Amerykanie bowiem nie tylko wiedzieli i rozumieli, ale odczuli na własnej skórze, że mają się z czego cieszyć.

Polacy, na szczęście, nie mieli jeszcze swojego bin Ladena. Cóż, nie mieli nawet (i miejmy nadzieję, że nie będą mieli) swojego Ramziego Ahmeda Yousefa, terrorysty odpowiedzialnego za przygotowanie zamachu na World Trade Center w Nowym Jorku z 1993 roku, w którym zginęło sześć niewinnych osób, a tysiące zostało mniej lub bardziej poszkodowanych. Wujek Ramziego Ahmeda Yousefa, Khalid Sheikh Mohammed, powiązany z Al-Kaidą, osiem lat później pogrzebie w gruzach tego samego WTC nie kilka osób, a tysiące ofiar, wielu z nich, w tym fanatycznym zamachowcom samobójcom, nie dając nawet cienia szansy na przeżycie.

Po drodze było jeszcze kilka innych zamachów terrorystycznych zorganizowanych przez siatkę Al-Kaidy, o których warto w tym miejscu przypomnieć, gdyż pamięć ludzka bywa i wybiórcza, i ulotna. W 1996 w Manili udaremnilo zamach Al-Kaidy na prezydenta Billa Clintona. W 1998 Al-Kaida przeprowadziła udane zamachy na amerykańskie ambasady w Afryce Wschodniej (w Dar es Salaam i Nairobi), w których zginęło setki osób, najczęściej miejscowych cywili. Kolejny spektakularny atak Al-Kaida przeprowadziła już na cel wojskowy — w wyniku eksplozji ładunków wybuchowych ucierpiał niszczyciel *USS Cole* stacjonujący w Jemenie, co miało miejsce 12 października 2000 — zginęło siedemnastu członków załogi, a trzydziestu dziewięciu marynarzy zostało rannych.

Mimo narastającego zagrożenia i setek ofiar, administracja Billa Clintona, bardziej skupiona na polityce wewnętrznej, zachowywała sporą powściągliwość w reagowaniu na problem. Swoje bardziej jastrzębie podejście do zwalczania terroryzmu, jakie dziś, niemal dwie dekady po pierwszym zamachu Al Kaidy na WTC, prawie wyłącznie znamy i pamiętamy, i które nieodłącznie utożsamiamy z polityką Stanów Zjednoczonych, Amerykanie rozwijali w dość długim przekroju czasowym i na pewno nie można powiedzieć, że od początku preferowali zdecydowanie ofensywne rozwiązania (czego należałoby oczekiwać po żadnych krwi barbarzyńcach). W latach dziewięćdziesiątych XX w., za obu kadencji Clintona, przez długi czas obowiązywał bardziej gołębi kurs wobec terroryzmu o islamskim rodowodzie. Takie potraktowanie sprawy tylko rozzuchwiliło terrorystów, czego skutkiem były zamachy z 11 września 2001, dokonane — przypomnijmy — jeszcze zanim George W. Bush, reprezentujący bardziej wojowniczo nastawionych Republikanów, na dobre zdążył rozgościć się w Białym Domu. Zaledwie kilka miesięcy zadecydowało więc o tym, że atak na WTC stał się poważnym wyzwaniem rzuconym przez Al-Kaidę administracji Busha, a nie kolejną, po Rwandzie, Srebrenicy i Afganistanie, spektakularną klęską permissywnej polityki zagranicznej Clintona i jego ówczesnych europejskich partnerów, równie nieprzygotowanych na podejmowanie trudnych decyzji w obliczu narastającego kryzysu.

Świat, jak się wydaje, dość szybko zapomniał również o szaleństwie religijnego fanatyzmu, jakie za sprawą talibów zostało rozpętane w Afganistanie od połowy lat 90-tych XX w., czemu sprzyjała początkowa bierność Zachodu wobec sytuacji w Azji Centralnej, co było bezpośrednią przyczyną późniejszej i nadal trwającej wojny.

Po ataku na WTC i Pentagon z dnia 11 września 2001 mieliśmy do czynienia z kolejnymi zamachami terrorystycznymi Al-Kaidy: 12 października 2002 w zamachach terrorystycznych na indonezyjskiej wyspie Bali zginęło ponad dwieście osób, przeważnie młodych ludzi, bawiących się w nocnych klubach i dyskotekach; tragiczne w skutkach zamachy bombowe inspirowane przez Al-Kaidę miały miejsce w Madrycie (2004) i Londynie (2005), a także w innych miejscach świata,

między innymi w takich krajach, jak Arabia Saudyjska czy Maroko. W zamachach organizowanych przez islamistów w Pakistanie ginie rocznie tysiące ludzi.

Samobójczy atak bombowy Al-Kaidy z 13 maja br., dokonany w akcie zemsty za śmierć bin Ladena, w którym poniosło śmierć kilkadziesiąt niewinnych osób (czy też winnych o tyle, że chcących służyć swojemu krajowi, utrzymującemu z różnych względów dość bliskie relacje ze Stanami Zjednoczonymi) kolejny raz przypomniawszy, jaki jest świat, w którym żyjemy, i po raz kolejny nie były to dobre wieści. Pokazał także, że Al-Kaida, niezależnie od zarzutów o immoralizm, formułowanych w stosunku do władz Stanów Zjednoczonych w kontekście krytyki wojny z terroryzmem, nadal stanowi realne zagrożenie, którego nie można ignorować. Bezsensowna śmierć kilkudziesięciu rekrutów, nie cieszyła się już jednak takim zainteresowaniem komentatorów, jak niedawna egzekucja bin Ladena z rąk Amerykanów, oskarżanych w związku z tym zdarzeniem o stosowanie podwójnych standardów. Prawdopodobnie owa masowa śmierć nie wpisywała się wystarczająco dobrze w schemat narracji, która przewiduje, że tylko Ameryka ponosi za wszystko odpowiedzialność, w tym odpowiedzialność za brutalność wojny z terroryzmem. I to też jest świat, w którym żyjemy.

To, że dziś, po zneutralizowaniu 2/3 głównych przywódców, Al Kaida jest wyraźnie osłabiona, kosztowało Amerykę i jej sojuszników ponad dziesięć lat zmagania i dwie wojny, które doprowadziły kraj na skraj bankructwa (armia i wydatki socjalne pochłaniają ponad 80% budżetu federalnego), a w siłach zbrojnych wywołały spadek morale i niespotykaną od kilkadziesięciu lat falę samobójstw. Niestety, dziś, jak nigdy przedtem, dobrze wiadomo, że problem terroryzmu sam się nie rozwiąże, co oznacza kolejne ofiary — po obu stronach tego konfliktu. Wiadomo, że cena, jaką przychodzi zapłacić za sukces w wojnie z terroryzmem jest bardzo wysoka zarówno pod względem poniesionych kosztów ludzkich (wśród żołnierzy i ludności cywilnej) i finansowych, jak też pod względem towarzyszących każdej wojnie niepowetowanych strat moralnych. Czy ktoś zna jakieś inne wyjście?

Caden O. Reless

Ur. w 1980 r. w Polsce. Magister nauk o zachowaniu. Główne zainteresowania autora koncentrują się wokół zagadnień przemian społeczno-politycznych współczesnego świata, socjologii, filozofii i psychologii świadomości.

[Pokaż inne teksty autora](#)

(Publikacja: 25-05-2011)

[Oryginał.](http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,1810) (<http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,1810>)

Contents Copyright © 2000-2011 Mariusz Agnosiewicz

Programming Copyright © 2001-2011 Michał Przech

Autorem portalu Racjonalista.pl jest Michał Przech, zwany niżej Autorem.

Właścicielami portalu są Mariusz Agnosiewicz oraz Autor.

Żadna część niniejszych opracowań nie może być wykorzystywana w celach komercyjnych, bez uprzedniej pisemnej zgody Właściciela, który zastrzega sobie niniejszym wszelkie prawa, przewidziane

w przepisach szczególnych, oraz zgodnie z prawem cywilnym i handlowym, w szczególności z tytułu praw autorskich, wynalazczych, znaków towarowych do tego portalu i jakiegokolwiek jego części.

Wszystkie strony tego portalu, wliczając w to strukturę katalogów, skrypty oraz inne programy komputerowe, zostały wytworzone i są administrowane przez Autora.

Stanowią one wyłączną własność Właściciela. Właściciel zastrzega sobie prawo do okresowych modyfikacji zawartości tego portalu oraz opisu niniejszych Praw Autorskich bez uprzedniego powiadomienia. Jeżeli nie akceptujesz tej polityki możesz nie odwiedzać tego portalu i nie korzystać z jego zasobów.

Informacje zawarte na tym portalu przeznaczone są do użytku prywatnego osób odwiedzających te strony. Można je pobierać, drukować i przeglądać jedynie w celach informacyjnych, bez czerpania z tego tytułu korzyści finansowych lub pobierania wynagrodzenia w dowolnej formie. Modyfikacja zawartości stron oraz skryptów jest zabroniona. Niniejszym udziela się zgody na swobodne kopiowanie dokumentów portalu Racjonalista.pl tak w formie elektronicznej, jak i drukowanej, w celach innych niż handlowe, z zachowaniem tej informacji.

Plik PDF, który czytasz, może być rozpowszechniany jedynie w formie oryginalnej, w jakiej występuje na portalu. **Plik ten nie może być traktowany jako oficjalna lub oryginalna wersja tekstu, jaki prezentuje.**

Treść tego zapisu stosuje się do wersji zarówno polsko jak i angielskojęzycznych portalu pod domenami Racjonalista.pl, TheRationalist.eu.org oraz Neutrum.eu.org.

Wszelkie pytania prosimy kierować do redakcja@racjonalista.pl